

*Jak mężczyzna mógł napisać tak pięknie i tak prawdziwie
o rozpacz i bólu kobiety? A że to mężczyzna, a nawet który,
poznać od razu. Po wyjątkowym poczuciu humoru...*

Anna Dymna

JANUSZ MAJEWSKI

Zima
w Siedlisku

CIĄG DALSZY OPowieści
O PENSJONACIE NA MAZURACH



JANUSZ MAJEWSKI

*Zima
w Siedlisku*

WYDAWNICTWO MARGINESY

Copyright © by Janusz Majewski 2012
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2012

Pamięci czasu w Laśmiadach

W tej powieści wszystko jest fikcją, ale niektóre fakty, zjawiska, postacie mogą przypadkowo przypominać rzeczywistość.

1.

Krzysztof odszedł nad ranem, nie odzyskawszy świadomości. Nie otworzył nawet oczu. Marianna drzemała koło niego na krześle, kiedy obudziła ją cisza, piknięcia w monitorze ucichły, sinusoidalne wykresy zamarły. Wybiegła w pończochach na korytarz i szeptem obudziła pielęgniarkę.

Wracał z Warszawy i zjeżdżał w Grajewie na Ełk, miał zielone światło, gdy uderzył w niego rozpędzony TIR na litewskich tablicach. Pchał jego volvo przed sobą jeszcze kilkanaście metrów, aż wbił je w narożny sklep. Na wystawie wypchany niedźwiedź trzymał w łapach tabliczkę z napisem „Niedźwiedź”. Krzysztof nie czuł żadnego bólu, zobaczył jeszcze, jak z kabiny TIR-a wyskakuje młody kierowca albinos i rzuca się do ucieczki. Śledził gasnącym wzrokiem oddalającą się wicherę prawie białych włosów otaczających głowę jak aureola i falujących w rytm kroków, jak na zwolnionym filmie. Pogoń przechodniów dopadła albinosa po kilkudziesięciu krokach, starszy mężczyzna zaczął bić go po głowie filcowym kapeluszem. Rozśmieszyło to Krzysztofa, pomyślał: „Przecież to nie boli, po co bić?”. Wtedy zemdlał. Oprzytomniał na parę sekund, kiedy karetka wjeżdżała na podjazd szpitala wojskowego. Za szybą mignęła tablica: *Helicopter landing area*.

– Wiem, gdzie jestem. U nas! – powiedział na głos do siebie i zapadł w sen, z którego się już nie obudził.

Lekarz dyżurny w randze porucznika podał Mariannie jakiś środek uspokajający i nakłonił ją, aby na chwilę położyła się w separacie. Leżała na boku, z otwartymi oczyma, starała się nie myśleć o niczym.

Potem zaczęły się zwyczajne problemy: Marianna już zgodziła się odstąpić od pomysłu pochowania męża na cmentarzu w Starych Juchach i zamówiła transport zwłok do Warszawy, gdy przyjechała siostra Krzysztofa z Krakowa i powiedziała, że wolą rodziców było, aby wszystkich chować w grobowcu na Rakowicach, razem z nimi. Jeszcze przed śmiercią ojciec wykupił dużą kwaterę z pozwoleniem na zbudowanie obszernej krypty na osiem trumien. „A gdyby państwo kazali się skremować, będzie tu można umieścić trzydzieści dwie urny” – powiedział urzędnik w zarządzie cmentarza.

Marianna apatycznie zgodziła się na Kraków, chociaż dzieci do końca optowały za Powązkami.

– Będziesz wciąż jeździła do Krakowa? – krzyczał zduszonym głosem Jacek.

– Nie, nie wciąż. Dam się skremować i położycie mnie koło niego – odpowiadała, patrząc pytającym wzrokiem w oczy szwagierki. Tamta potakiwała głową uspokajająco.

Pułkownik W., komendant szpitala wojskowego, grywający u nich w brydża, zgodził się na przetrzymanie ciała Krzysztofa w chłodni przez jeszcze jedną noc, a przedsiębiorca pogrzebowy na przełożenie przewozu na następny dzień. Pojechały razem z trumną czarnym, błyszczącym karawanem ze złotym napisem na drzwiach: *We proudly offer you our Cadillacs.*

– Co za luksus! – zachwycała się szwagierka.

– Tu dużo ludzi wraca z Ameryki, z emigracji. Przywożą coś, na czym można robić biznes – wyjaśniła rzeczowo Marianna. Potem już milczały całą drogę, zapadając się w poduszki wygodnej pluszowej kanapy i trzymając się kurczowo za ręce w czarnych skórzanych rękawiczkach. Z głośników sączyła się cicha, żałobna muzyka, ale poprosiły kierowcę, żeby ją wyłączył.

Na pogrzeb Krzysztofa do Krakowa przyjechało więcej ludzi, niż Marianna się spodziewała. Poza oficjalną delegacją z Uniwersytetu Warszawskiego, jego kolegami i studentami dostrzegła też wielu sąsiadów z Mazur i gości często bywających w ich pensjonacie. W pewnej odległości przesunęła się elegancka młoda dama, w której Marianna rozpoznała doktorantkę Basię, kiedyś powód swoich zgryzot. Udawała, że jej nie widzi, ale tamta przyłapała jej spojrzenie i przez sekundę patrzyły sobie w oczy. Oczy Basi prosiły o przebaczenie, oczy Marianny były puste. Na cmentarz przybyła też spora grupa krakowskich przyjaciół szwagierki, jak również gimnazjalnych kolegów Krzysztofa – większość z nich wyglądała dużo starzej niż on, i Marianna doznała muśnięcia irracjonalnej dumy, że jej mąż wciąż tak się trzyma, co tylko poskutkowało kolejnym, bezradnie tłumionym szlochem. Szwagierka wskazała jej wzrokiem mocno starego pana w czarnym palcie z aksamitnym kołnierzem i szepnęła:

– On był jeszcze asystentem naszego ojca. Zawsze przychodzi tu w rocznicę jego śmierci, był też na pogrzebie mamy.

Kiedy po nabożeństwie wychodzili z kaplicy, dawny asystent stał przy wejściu. Marianna poczuła silny zapach naftaliny, ale nie była pewna, czy to od niego. Szła za trumną podtrzymywana z jednej strony przez Jacka, z drugiej przez Jasia, który przyleciał z Londynu prosto do Krakowa. Marianna z rozpaczą i bólem wpatrywała się w jadącą przed nią trumnę, ale co chwila odwracała

wzrok na wnuka i wtedy odczuwała wielką dumę i pocieszenie. Karciała się nawet w duchu, że nie powinna tu i w takiej chwili doznawać uczucia radości, ale nie mogła się napatrzeć na niego, nadziwić, że tak urósł i wydorósł. W lecie skończył szesnaście lat, ale wyglądał na więcej, może ze względu na wysoki wzrost i poważny teraz wyraz dziecinnej jednak twarzy, na której cień zarostu toczył zacieklą walkę z trądzikiem młodzieńczym. Za Marianną, Jackiem i Jasiem szedł Robert. Trzymał mocno pod ramię osłabioną Kasię, prowadzącą za rączkę już prawie dziesięcioletnią Anię. Trochę za nimi, jakby onieśmielona podążała samotnie Iza. Te dziewięć lat, które minęły od jej rozvodu z Jackiem, bardzo ją zmieniły: zeszcupiała i jakby nawet odmłodziła. Była świetnie ubrana, dobrze uczesana i jakieś drobne, prawie nieuchwytnie szczegóły od razu wyróżniały ją z otoczenia, kwalifikowały jako cudzoziemkę. Chociaż wprawne oko dostrzegłoby, że jej odzież nie pochodzi z markowych butików, ewentualnie w najlepszym razie od Marksa i Spencera, emanująca z niej energia świadczyła, że jest kobietą sukcesu, może tylko gardzi współczesnym systemem sygnalizacji, pokazującym pozycję społeczną za pomocą torebek Fendi i butów od Versacego. Te, które stukały teraz po asfalcie cmentarnej alejki, były niezaprzeczalnie w dobrym gatunku, ale ich marka nie stałaby się przyczyną wnikliwych dociekań żyjących takimi tajemnicami bytu dam, gdyby takowe znalazły się przypadkiem na tym pogrzebie. Na szczęście się nie znalazły, ku mniej lub bardziej szczerzej uldze Jacka, który wciąż lubił się przedstawiać jako ich ofiara.

Gdy dotarli do grobowca ziejącego dziurą odwalonej płyty, kościelny trzymający w dłoniach dwa do złudzenia podobne do siebie przedmioty: mikrofon i przenośne kropidło, bez wahania wybrał pierwszy z nich i podał księdzu. Ten podrapał w siatecz-

kę urzędzenia, odchrząknął i przez nadmiernie wielki głośnik popłynęła na cały cmentarz zagmatwana mowa, w której chwalił zmarłego, a także wymieniał jego zasługi, opisując je tak ogólnikowo, że pasowałyby do każdego. Z uznaniem powitał decyzję pochowania go tutaj, co określił jako „powrót do prastarych korzeni rodziny krakowskiej”, a co świadczyło o tym, że nic o tej rodzinie nie wie. Grobowiec był trochę uproszczoną repliką dziewiętnastowiecznej kaplicy rodu Kalinowskich na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, którą niedługo przed swoją śmiercią kazał być wybudować stary profesor, i to w pewnym sensie tłumaczyło trochę księdza: tu też roiło się od takich kaplic w stylu galicyjskiej pseudoklasyki, które krakowianie uważają za swój wkład do kultury ogólnoludzkiej, choć są one kopiami wiedeńskich lub paryskich grobowców.

Po pogrzebie goście zostali zaproszeni na poczęstunek do starej restauracji Hawełka w Rynku. Wysoka, trochę posępna sala o ścianach wyłożonych ciemną boazerią i obwieszonych obrazami w złotych ramach, która w innym mieście uchodziłaby za muzeum, była dobrym miejscem na smutną stypę. Ksiądz, teraz już po cywilnemu, zatarł ochoczo ręce.

– Mają tu dobrą maczankę – powiedział.

Marianna aż drgnęła, słysząc to słowo.

– Co za wulgarna nazwa!

– Nazwa prostacka, ale smak wykwiniony – odparł ksiądz z dwuznacznym uśmiechem, jakby czytał w jej myślach. Przeprosiła go i podeszła do Kasi, która czekała na nią z boku. Objęły się bez słowa i uściskały.

– Jestem w ciąży... – szepnęła jej Kasia do ucha.

Marianna się rozjaśniła.

– Wspaniale! Od kiedy?

– Już trzeci miesiąc.
– I nic nie mówiliście?
– Tym razem chcieliśmy to ukrywać, ile się da. Zwłaszcza jak doktor wyliczył termin. Powinno się urodzić w twoje urodziny, dwudziestego czwartego kwietnia. Bardzo byśmy chcieli, żeby był taki jak ty, chociaż to będzie chłopiec...

Marianna się rozpląkała. Do tej chwili trzymała się dzielnie, szybko ocierała wilgotniejące oczy i w szpitalu, kiedy lekarz stwierdził zgon, i nad grobem, kiedy podchodzili z kondolencjami, a teraz ta radosna nowina zburzyła wszystkie tamy. Kasia objęła mocno matkę i chociaż przywołała wszelkie swoje szorstkości, całe swoje opanowanie i dystans wobec świata, też nie mogła powstrzymać łez. Uciekły do łazienki, jak dwie koleżanki na przerwie w szkole, żeby się wypłakać, naszeptać i poprawić rozmazany tusz.

Nie chciała wracać z Robertem i Kasią ich samochodem. Jacek postanowił wyskoczyć do Zakopanego odwiedzić kumpla, skoro był już tak blisko, a jego mina łgarza zdradzała płec tego przyjaciela. Iza zdecydowała się zostać, aby pokazać Jasiowi Kraków. Marianna wybrała powrót pociągiem. Jasio odprowadził ją aż do wagonu, pożegnała się z nim czule, a on obiecał przyjechać na ferie świąteczne.

Całą drogę przedrzemała, zakryta połą płaszczem. Czasem uchylała ją troszkę i patrzyła na przesuwane się za szybą szare, mokre listopadowe pola. Obrazy traciły ostrość, rozmazywały się, przelatywały przez nie strzępki niedawnych wydarzeń, ale bez żadnego porządku i sensu, jakieś nieistotne fragmenty, nagle ostre szczegóły: tabliczka na trumnie, ksiądz na stypie zasłaniający sobie usta serwetką, czarne okulary Jacka, w których odbija się bezlistne drzewo na cmentarzu. To drzewo nie

wiedzieć czemu wzruszało ją bardzo i kiedy czuła strużkę łez ściekających jej po policzku, ocierała ją wierzchem dłoni i chowała głowę pod płaszcz, ale zaraz znów robiła sobie szparkę i wpatrywała się w coraz bardziej ciemniejsze pasmo pejzażu wytrwale uciekającego za oknem. Cały czas wracała myślami do słów Kasi: „Bardzo byśmy chcieli, żeby był taki, jak ty...” i nie mogła się nimi nacieszyć. Kasia, córeczka tatusia, zawsze oschła, najeżona, krytykancka, i nagle taka zmiana?! Jeżeli ma się urodzić pod koniec kwietnia, jeśli nawet nie 24, to w każdym razie będzie Byk, jak ja... Ale – policzyła sobie na palcach – jeśli będzie w kwietniu, to znaczy, że był poczęty pod koniec lipca, pod znakiem Lwa... Jak Krzysztof.

W Ełku na dworcu czekał Józek z samochodem. Pocałował ją w rękę, czego nigdy nie czynił, wymamrotał jakieś niezręczne kondolencje, po czym przez całą drogę do Panistrugi opowiadał, co się wydarzyło przez ostatnie dni, a nie wydarzyło się nic. Na podwórzu entuzjastycznie powitały ją psy, Najki i Czarny, mały Heniek, szorstkowłosey jamniczek, pupilek Krzysztofa, płakał, wyrzucając z siebie pretensje za jej długą nieobecność, i szarpał karcąco nogawkę jej dżinsów.

Heniek był następcą Baxtera, bardzo podobnego jamnika, też szorstkowłosego, którego Krzysztof kupił Mariannie na urodziny zaraz na początku ich mazurskiego życia. Miało być ono tylko wakacyjnym epizodem, a czym się stało, teraz właśnie się okazuje. Baxter był psem mądrym, o zdecydowanym charakterze i wyrobionych poglądach na życie, na przykład nie lubił dzieci, zwłaszcza małych. Niewykluczone, że maluchy przypominały mu o jego kompleksie małego wzrostu, chociaż mogły mu też, odwrotnie, dodawać tym otuchy. Jak było naprawdę, już się nigdy nie dowiemy, zwłaszcza że biedak zmarł, w każdym razie liczba

ugryzionych (nie pogryzionych, bo zawsze było to tylko jedno capnięcie) i postraszonych dzieci zatrważająco rosła. Kalinowscy grali wobec gości komedię, że się tym przejmują, było jodynowanie, uśmierzanie bólu czekoladą, przeprosiny, pokazowe karzenie Baxtera surowymi słowami, godnymi nieprzejednanych prokuratorów świętej inkwizycji, zawstydzanie go publiczne i karanie karcerem (w rzeczywistości zamykanie w sypialni, gdzie rozwał się w ich pościeli i podzerał herbatniki zapomniane na nocnej szafce). W skrytości ducha cieszyli się, że może przynajmniej niektórzy, z najbardziej dokuczliwymi bachorami, z powodu psa zrezygnują z następnego przyjazdu. Klasyczny układ kija i marchewki: kijem był Baxter, a marchewką – marchewka à la księż Radziwiłł, gotowana w mleku z pieprzem i odrobiną miodu. Łakomczuchom trudno było z niej zrezygnować.

Niepohamowane wścibstwo Baxtera, który musiał zawsze być blisko Marianny, więc łąził za nią krok w krok, przysłuchiwał się jej rozmowom telefonicznym, skrobał do drzwi, kiedy zamykała się w łazience, szwendał się po schodach w górę i w dół, uganiał się za zajęcami po polach, wczłgiwał do podziemnych, lisich labiryntów, doprowadziło jego kręgosłup do ruiny: został dotknięty paraliżem tylnych łap. Wożenie go po weterynarzach i klinikach nic nie dało, władzy w nogach nie odzyskał. Włókł za sobą tylne bezwładne łapki po kamieniach podwórka, ścierając je sobie do krwi, bo za nic nie chciał abdykować ze swego tronu władcy tego małego świata. Co prawda wyglądał raczej na Łazarza niż króla Dawida, pogromcę Goliata – Najkiego, którego potrafił nieraz zdrowo pogonić. Marianna najpierw wyprowadzała go, unosząc mu tyłek na szaliku, potem Krzysztof obstałował dla niego dwukołowy wózeczek, który przytwierdzony paskami do jego tułowia zaczął mu dobrze służyć. Baxter stał się atrakcją

podwórka, które dumnie przemierzał, turkocząc kółkami, niczym wóz bojowy. Kiedyś na widok nadjeżdżającego dziwnego wózko-psy jakiś zabłąkany kundel, klasyczny wiejski raubritter, rzucił się do panicznej ucieczki ze skowytem prostaczka, który spotkał kosmitę. Na noc biednego inwalidę wstawiano do dzieciennego kojca, gdzie po bezskutecznych próbach sforsowania ciasnych sztachet spał, chcąc nie chcąc, na pampersach do rana. Na tydzień przed Wigilią Marianna, która zawsze wstawiała wcześniej od Krzysztofa, zobaczyła, że Baxter, zamiast w kojcu, śpi na środku hallu, obok ogromnej kałuży sików. „Nie wsadził go na noc w pampersy!” – złorzeczyła w myślach Krzysztofowi, a dopiero za trzecim przejściem przez hall zobaczyła, że Baxter nie żyje. Jakąś nadprzyrodzoną, nadjamniczą siłą wydostał się z kojca, może wyleciał na skrzydłach, których na chwilę mu użyczył anioł śmierci, aby umrzeć wolnym, dumnym psem.

Krzysztof i Józek pochowali go na zwierzęcym cmentarzyku za starą obórką, gdzie leżała już sędziwa jamniczka Józka, która się utopiła w basenie, co wyglądało na samobójstwo, piękna Lolka, *fesche* Lola, z brwiami Marleny Dietrich, zabita mercedesem przez stęsknionego autochtona, otruty podstępnie, w tajemniczych okolicznościach Graf i dwa zaduszone przez niego łąbędzie oraz kilka bezimiennych kotów, szczurów i ptaków padłych w walce o byt. Józek z mozołem rozbijał zmarzniętą już ziemię, Krzysztof przyglądał mu się w milczeniu. Włożyli do płytkiego grobu ciało Baxtera spowite w całun z folii kuchennej, Józek zasypał dół i uklepał mały kopczyk. Postali nad nim chwilę w milczeniu, potem podali sobie ręce i rozeszli się bez jednego słowa. Ilekroć Krzysztof opowiadał o tym Mariannie, odwracał głowę, żeby nie widziała, że mu wilgotnieją oczy.

– O której był pogrzeb? – zapytał nagle Józek.

– O pierwszej.

– On od wczoraj, gdzieś właśnie od pierwszej, nic nie jadł.

Tylko wodę pije.

Mariannie łzy zakręciły się w oczach, ale nic nie powiedziała. Dopiero gdy znalazła się w łóżku, zgasiła światło i wsłuchiwała się w znajome nocne odgłosy swego domu, gdy zamarła w bezruchu w oczekiwaniu na głuchy łoskot pompy w piwnicy, który kiedyś brała za jęk jakiejś potępionej duszy i ten jęk, już oswojony w końcu nastąpił, gdy zaczęła machinalnie liczyć skrzypnięcia blaszanej chorągiewki na dachu, którą każdej nocy Krzysztof obiecywał naoliwić, a zawsze o tym rano zapominał, wtedy nagle spostrzegła, że pancerne skrytki w przechowalni na starym dworcu zapomnianej linii kolejowej, w których pochowała wszystkie swoje wspomnienia, zaczynają się teraz z tym rytmicznym skrzypieniem otwierać, że wysypują się z nich obrazy wspaniałych lat, pięknych dni i chwil przeżytych z Krzysztofem, i gdy zrozumiała, jak bardzo był jej bliski, jak mocno go kochała, dopiero wtedy nakryła głowę kołdrą i rozryczała się jak dziecko.

Rano wstała o zwykłej porze, szybko umyła się i ubrała, po czym zeszła do kuchni. Pani Helenka podała jej kawę i żeby pohamować chęć rozmowy, poszła gdzieś, udając zaaferowanie, jakby był szczyt sezonu, pensjonat otwarty, a jadalnia pełna gości. Marianna piła kawę zapatrzona w jakiś daleki punkt za oknem, potem poszła na strych i wyszukała kartonowe pudło z IKEI z napisem „1999–2004”. Było ciężkie, ale Marianna przemogła chęć, aby tam je otworzyć, i zniosła je z wysiłkiem do biura, odpoczywając co kilka schodów. Tu otworzyła pudło i wyciągnęła kilkanaście kartonowych teczek i dużych kopert. Na każdej był pedantyczny napis czarnym flamastrem: „Dokumenty”, „Fotografie” lub „Listy” z zaznaczeniem daty. Zaczęła od koperty ze zdjęciami z 1999 roku.

2.

Na kopercie był napis: „Lato 99 – nasi goście”. Marianna wysypała fotografie na biurko i zaczęła je przeglądać. Powtarzała się reguła: goście uśmiechnięci, opaleni, trzymający w rękach słoiiki przetworów, którymi obdarowała ich na pożegnanie, otaczają gospodynię uśmiechającą się z lekkim zażenowaniem, ale i z satysfakcją. Na odwrocie często znajdowała pochwalne dopiski i podziękowania za udany pobyt, „fantastyczne wakacje”, „niezapomniany klimat”, „cudowną kuchnię” itd. Zauważyła, że na takich z reguły przysyłanych potem z odległych miast i krajów fotografiach, bardzo rzadko uchwycony był Krzysztof. Uchwycony – to dobre określenie, bo zawsze wyglądało na to, że trafił na zdjęcie, gdyż właśnie przechodził obok albo dał się uprosić w ostatniej chwili i migawka przyłapała go w ruchu, powodującym lekką nieostrość, zamazanie rysów twarzy. Powtarzało się to z niemal chroniczną uporczywością, niezależnie od tego, kto był na zdjęciu i kto je wykonał. Teraz, kiedy Marianna rozłożyła kilkanaście fotografii obok siebie, uderzyło ją to i zastanowiło. Jak gdyby Krzysztof ukrywał się przed czymś lub przed kimś i bał się, że takie zdjęcia go zdemaskują. Marianna oczywiście znała jego niechęć do zawierania nowych znajomości,

do nawiązywania bliższych kontaktów z osobami, które nie budziły w nim zaufania, nie mówiąc już o tych, których uważał za kretynów, czyli, co tu kryć, większości ludzkości.

Kiedy wyjeżdżali nad morze z małymi jeszcze dziećmi, Krzysztof prowadził rodzinę w najdalszy kątek plaży, kopał tam grajdół i otaczał płóciennym parawanikiem w nadziei, że nikt tam nie przyjdzie i nie rozłoży się tuż obok. Niestety po kilkunastu, no, może kilkudziesięciu minutach spokoju, podszytego jednakże nerwowymi obawami, kiedy Krzysztof co jakiś czas wystawiał głowę zza parawaniku i czujnie lustrował okolicę, co rozśmieszało Mariannę, bo upodabniało go do pieska pustynnego czy innego gryzonia oglądanego w telewizji, na horyzoncie ukazywała się liczna rodzina – dzieci, dziadkowie, upiorne ciotki pod kierownictwem zaradnego ojca lub apodyktycznej matki – i rozkładała się tuż obok nich. Przeważnie byli to Ślązacy, zawsze mieli radio Szarotka skrzeczące na cały regulator. Krzysztof przeżywał tortury: z jednej strony, oburzało go chamstwo takich intruzów, z którego oni nie zdawali sobie wcale sprawy i nawet sygnalizowali chęć nawiązania znajomości, z drugiej za nic w świecie nie okazałby swojej dezaprobaty, nie mówiąc o wygłoszeniu słów protestu. Pół biedy, jeśli wśród intruzów trafiła się jakaś młoda zgrabna dziewczyna albo dorodna dojrzała kobieta o rubensowskich kształtach, wtedy Krzysztof dawał niekontrolowany koncert obłudy: niby fukał niezadowolony z sąsiedztwa, ale zza gazety, albo kryjąc oczy za ciemnymi okularami i niby patrząc na morze, zezował w kierunku przybyłego obiektu i z przyjemnością kontemplantował ulubione kształty. Marianna zawsze wyczuwała to natychmiast jakimiś czujnikami umieszczonymi w ciele kobiety wszędzie: na plecach, na tyle głowy, na piętach. Nie patrząc, widziała, jak Krzysztof nie może się napatrzeć na kobiece wdzięki. Szczególnie

gustował w urodach prostych, żeby nie powiedzieć prostackich. Ładna proletariuszka albo wieśniaczka, której figura była niby zgrabna i prawie szczupła, lecz wszystkie kobiece atrybuty, biust, pupa, uda, jakby o numer większe, wyrazistsze – to był jego ideał. Potrzebował szczypty wulgarności albo jakiegoś przerysowania. Kobiety, na które zwracała mu uwagę Marianna, zwykle posągowe piękności czy szlachetne profile, w ogóle go nie interesowały. W domach pięknych dam zawsze łypał pożądliwie na ładne pokojówki, jeśli takie u nich służyły. Marianna, w swojej wielkiej mądrości, nie miała mu tego za złe. Z jednej strony wiedziała, że on się za bardzo jej boi, żeby zaryzykować przygodę na boku, z drugiej była zadowolona, że tak docenia uroki kobiecości, że jest takim koneserem damskich wdzięków.

Kiedyś spotkali na deptaku kolegę Krzysztofa ze studiów z jakąś długonogą gidią i zaprosili ich do swojego grajdoła. Marianna zlustrowała krytycznie dziewczynę i uspokoiła się na widok jej przeraźliwie bladego, chudego ciała z wyraźnymi „solniczkami” i spiczastymi łokciami. Ledwo nakremowali się i ułożyli pokotem na ręcznikach, nadeszła jakaś hałaśliwa rodzina, jak na złość ze Śląska. Nie zdążyli nawet rozłożyć koca w szaro-burą szachownicę, a już kolega Krzysztofa zaproponował podniesionym głosem, żeby raczej mu się położyli na ręczniku albo po prostu na jego głowie, żeby mu, kurwa, wpierdolili jego kanapki, a dzieciak żeby się porzygał na jego gazety! Ślązacy oddalili się bez słowa z przerażeniem w oczach i rozłożyli się w bezpiecznej odległości. Krzysztof uśmiechnął się z aprobatą i pokazał koledze uniesiony kciuk, chuda panna nie uniosła nawet głowy, tylko opiaszczoną stopą potarła czule łydkę swojego pana, on klepnął ją w tyłek i mamrocząc pod nosem jakieś obelgi, wyciągnął się na ręczniku. Marianna, chociaż macho zaimponował

jej zdecydowaniem, trochę żałowała, że odpędził tak brutalnie dość sympatycznie wyglądających ludzi. Ona w takich wypadkach często sama zagadywała do intruzów, wdawała się w rozmowy, w pokazywanie sobie wzajemnie zdjęć, częstowanie owocami, a to dla Krzysztofa było torturą i powrót z plaży przemieniał się w przykrą kłótnię.

Właściwie wszystkie ich znajomości, które potem zamieniały się nawet w wielkie przyjaźnie, zaczynały się od naburmuszonej nieufności Krzysztofa. Brało się to stąd, że on w gruncie rzeczy był bardzo nieśmiały, wręcz wstydlivy, nie potrafił rozmawiać „o wszystkim i o niczym”, musiał kogoś znać, wiedzieć, czym się interesuje, mieć z nim wspólny język, wtedy otwierał się, okazywał się rozmownym, ciekawym, sympatycznym, a nawet dowcipnym gospodarzem lub gościem, w zależności od tego, gdzie spotkanie miało miejsce.

A w latach siedemdziesiątych zaczęło w Warszawie kwitnąć życie towarzyskie. Względny dostęp do niespotykanych wcześniej dóbr, zagranicznych alkoholi, cytrusów, słodczy, lepsze zaopatrzenie sklepów, pozory otwarcia się na świat dzięki wakacjom w Bułgarii czy Jugosławii, wszystko to zachęcało do organizowania spotkań w domach, coraz bardziej warty pochwalenia się nowymi meblami, do wykazania się talentem kulinarnym, pokazania slajdów z podróży, poczęstowania przywiezionym z Węgier winem egri bikaver, które było wtedy dla nich szczytem luksusu. Ich mieszkanie nie było duże jak na standardy przedwojenne, ale Gomułka i jego eksperci, ustalający normy mieszkaniowe w latach sześćdziesiątych, słynne M2, M3, nazwaliby ich pokoje salami (nie mylić z włoską wędliną!). Obszerne, a przede wszystkim wysokie, o wielkich oknach i dwuskrzydłowych drzwiach, sprawiały wrażenie większych niż w rzeczywistości

i luksusowych. Estetyczne kwalifikacje Marianny i zamiłowanie do pedanterii Krzysztofa zaowocowały pięknymi wnętrzami, chociaż nie mieli cennych mebli ani obrazów. Marianna dostała od jakiejś ciotki piękną sypialnię w stylu art déco, której jej dzieci pozbyły się ze wstrętem na rzecz modnych meblościanek. Krzysztof przywiózł z Krakowa parę obrazów po rodzicach, a ogólny klimat tworzyli oni sami swoją gościnnością, jego poczuciem humoru, zapachami jej kuchni już od progu witającymi zaproszonych. Że potrafi dobrze gotować, w ogóle kiedyś nie wiedziała, pomagała nieraz mamie czy babci w kuchni, ale wtedy mało ją to ciekawiło, nie starała się zapamiętywać ich przepisów. Jakoś przecież wchodziło jej w krew i teraz nagle zakwitło. Na gastronomiczny debiut zaprosiła swego profesora z akademii, świętego, chociaż trochę niedocenianego malarza Antoniego M., konesera i smakosza, który wiele jeździł po świecie, ale przed wojną, kiedy to jeszcze było normalne. Profesor surowo recenzował każde danie, każdą potrawę, ale jego krytyka nie była jałowa, lecz twórcza, połączona z praktycznym szkoleniem. Tego wieczoru Marianna nauczyła się gotować ryż na sypko, a białe wino podawać schłodzone, profesor natomiast pochwalił smak Marianny, ponieważ jej potrawka cielęca w sosie cytrynowo-koperkowym okazała się wyborna.

W tym okresie zbliżyli się do trzech kolegów ze studiów, którzy w odróżnieniu od Krzysztofa podjęli praktykę w swoich specjalnościach: Euzebiusz w gastrologii, January w endokrynologii, a Wacław w chirurgii naczyniowej, poznali ich żony, dzieci w wieku ich własnych, a że wszyscy mieszkali na Żoliborzu, zaczęli u siebie bywać. Wkrótce utworzyło się kółko bliskich przyjaciół, do którego przyłączył się jeszcze jeden ich rówieśnik i kolega ze studenckich czasów, Ludwik, reżyser operowy,

posiadacz pięknej willi i gospodarnej żony oraz pary rasowych posokowców, gdyż jego prawdziwą pasją było myślistwo. Dzięki temu wciąż byli zapraszani na udźce, combry i pasztety świetnie przyrządzane przez panią Ludwikową. Dzielnym nemrodem miał jeszcze jedną obok polowań pasję: zbieranie antyków. Ich dom wyglądał jak wielki antykwariat, a trzeba przyznać, że gospodarz miał wyjątkowy smak i wiedzę, więc nie uświadczyło się tu żadnego kiczu ani falsyfikatu. Zbierał obrazy i miał kilka świetnych: parę barokowych portretów kawalerów maltańskich wyszabrowanych kiedyś z zamku joannitów w Sonnenburgu (o czym świadczył dokument nalepiony na odwrocie płótna), a mimo to bezczelnie wstawionych do Desy i przez nią mu sprzedanych; świetny portret oficera w czerwonym fezie i galowym mundurze obwieszonym medalami, z ordynansem trzymającym za uzdę pięknego konia rasy arabskiej, podpisany nazwiskiem malarza Grandchamp (Ludwik wykrył, że wybitnego, posiadającego nawet osobne muzeum w Lozannie czy Genewie) i datą – Caire 1861. Dziwne było to, że w tle namalowana była panorama nie Kairu, lecz Konstantynopola z charakterystyczną kopułą i minaretami meczetu Hagia Sofia... Stop! – wspomnienia Marianny, rozwijające się jak nić ze szpulki, zatrzymały się. „Nie mogę tak rozpędzać pamięci, bo oszaleję! – skarciła siebie w duchu. – Trzeba przejrzeć i uporządkować papiery, jeśli znajdzie się jakaś niedoprowadzona do końca sprawa, jakaś korespondencja bez odpowiedzi, będę musiała to wszystko pozalatawać”.

Ta perspektywa poważnie ją przeraziła. Biuro prowadził zawsze Krzysztof, to on pilnował faktur, on obsługiwał komputer i zaprowadził tam swoje porządki, on zajmował się korespondencją i rozmowami z klientami w obcych językach, a nie dość, że miał idealny porządek w papierach i komputerze, to i niezawodną

pamięć. Nie mogła się nadziwić, że ktoś taki, kto przestrzegał wszystkich terminów płatności, czytał, rozumiał i zapamiętywał przepisy urzędowe, nie jest w stanie zapamiętać dat popularnych imiennin, kto się kiedy i z kim rozwiódł, jak się nazywają państwo, którym odkłoniłiśmy się przed chwilą na ulicy i skąd ich znamy. Taką wiedzę ona miała wykutą na blachę i z tą wiedzą teraz została, jak ze stertą zdevaluowanych banknotów, za które nie można już nic kupić.

Wsunęła fotografie do koperty i odłożyła ją do pudła. Włożyła nieprzemakalny płaszcz i wyszła na podwórze, kierując się w stronę pól. Psy, Najki i Czarny, bez żadnej zachęty wylazły ze swoich bud i z radosnym poszczekiwaniem pobiegły przodem, mały Heniek szedł przy nodze. W głowie Marianny dopiero w tej chwili zapalił się wielki, żółty neon: JESTEM W DOMU.

Minęła piramidę, swoją dumę zbudowaną niedawno mimo protestów Krzysztofa, który nie wierzył w jej rzekomo lecznicze działanie i mówił, że taniej będzie i na jedno wyjdzie zlepić miniaturowe piramidki z kartonu i przywiązać tasemkami do głów, o czym z powagą przekonywał autor artykułu w jakimś specjalistycznym piśmie wydawanym chyba przez cyników dla łatwowiernych maniaków. Kiedy jednak piramida powstała, a on z grzeczności uległ entuzjastycznym namowom żony i wchodził tam na sakramentalne dwadzieścia minut, zawsze po wyjściu twierdził, że nic nie czuje. Nie wiedział, że Marianna szybko odkryła jego tajemnicę: po prostu natychmiast tam zasypiał, więc cóż miał czuć? Inaczej ona: kiedy tam siedziała na podwyższeniu, w wygodnym fotelu, słuchając cichej muzyki albo nagranych dźwięków natury, fal morskich lub szumu wiatru, wydawało się, że niemal widzi strumień pędzącego promieniowania kosmicznego, które przepływa przez jej mózg, zostawiając w nim

lecnicze cząstki materii. Wychodziła z piramidy naładowana energią, emanująca entuzjazmem i poszukująca dla niego ujścia. Zastanawiające było to, że stadko jej kur zawsze rozpierzchało się wtedy z panicznym gdakaniem i uciekało w krzaki, gdy normalnie zlatywało się na jej widok, wiedząc, że zawsze coś sypnie. To ją trochę deprymowało, podobnie jak wypadki zasłabnięcia, które zdarzały się gościom, tak że od czasu, gdy mecenasowa R. z Krakowa dostała tam ataku epilepsji, zawsze wysyłała którąś z dziewczyn z kuchni, aby czuwała nad bezpieczeństwem śmiałych amateerek „kosmoterapii”. Krzysztofa nigdy nie przekonały naukowe argumenty inżyniera Margłó, który chociaż tylko podjął się budowy piramidy jako kolejnego zadania fachowego, tak się zainteresował nietypowym obiektem, że przestudiował całą literaturę przedmiotu i zanudzał wszystkich swą wiedzą, będącą wszelako zbyt blisko zabobonów. Krzysztof, racjonalista i urodzony niedowiarek, mówił wtedy: „Jeśli mi powiecie, że w to po prostu wierzycie – w porządku, nie w takie brednie ludzie wierzą i nawet jak zaczniecie się do niej modlić, obchodząc ją w koło ze śpiewem, sztandarami i z biciem w bębny, to niech będzie, okay, róbcie sobie, co chcecie, ale jak mi zaczniecie udowadniać naukowo, że to działa, zróbcie najpierw badania laboratoryjne i to najlepiej na myszach”. Przypomniała sobie teraz te spory i zezłościła się znowu na Krzysia, ale natychmiast się zmitygowała i skarciła w duchu: teraz już nic w nim nie mogło jej zdenerwować, teraz musi mu zawsze wybaczać wszystko.

Przeszła koło Czekoladowego Drzewa, które było swoistą miarą czasu. Co roku w wakacje jakieś dzieci, dotąd z przejęciem i nadzieją biegnące, aby w jego dziuplach znaleźć łakocie, przestawały wierzyć, że zostawiają je tam krasnoludki, i zaczynały stroić porozumiewawcze miny – znak, że dorosłeją. Minęła kapliczkę

i uśmiechnęła się na wspomnienie święcenia tu wielkanocnych koszyczków i grasowania Baxtera, który nauczył się podkradać dzieciom kiełbasy ze święconek, i skręciła w stronę altany. Kiedy do niej weszła i zatoczyła wzrokiem po krajobrazie, w którym знаła każde drzewo, każdą zatoczkę jeziora, każdy łuk wzgórza, łązy polały się ciurkiem po jej policzkach. Ale stłumiła szloch i wytarła chusteczką oczy.

